

MIEDZIAKI



COLSON WHITEHEAD

Autor KOLEI PODZIEMNEJ

ALBATROS

Prolog

Nawet po śmierci chłopcy sprawiali problemy.

Tajny cmentarz znajdował się po północnej stronie Miedziaka, na pstrokatej parceli zarosłej dziką trawą, pomiędzy starym warszatem a śmietniskiem. Pole służyło za pastwisko w czasach, gdy szkoła otworzyła mleczarnię, żeby sprzedawać miejscowej klienteli nabiał – jedno z przedsięwzięć stanu Floryda, aby ulżyć podatnikom w kosztach utrzymania zakładu poprawczego. Deweloperzy budujący kompleks biurowy zagarnęli ten teren pod plac z restauracjami, czterema aranżacjami wodnymi i betonową sceną na okazjonalne imprezy. Odkrycie zwłok stanowiło bardzo kosztowną komplikację dla zaangażowanej agencji nieruchomości, czekającej na zielone światło po analizie wpływu inwestycji na środowisko naturalne, oraz dla prokuratury, która niedawno umorzyła dochodzenie w sprawie domniemanego znęcania się nad podopiecznymi

Miedziaka. Teraz należało wszcząć nowe śledztwo, ustalić tożsamość zmarłych i przyczynę ich śmierci. Nikt nie miał bladego pojęcia, kiedy teren zostanie wyrównany, oczyszczony, zgrabnie uwolniony od przeszłości, a tego zdaniem ogółu należało dokonać dawno temu.

Wszyscy chłopcy wiedzieli o tej cholernej parceli. Ale trzeba było dopiero studentki z Uniwersytetu Południowej Florydy, żeby dowiedział się świat, dziesiątki lat po tym, gdy pierwszego miedziaka zasznurowano w worku na kartofle i wrzucono do dołu. Spytana, jak wypatrzyła groby, Jody odparła:

– Ziemia wyglądała dziwnie.

Zapadły teren, liche chwasty. Jody z resztą uniwersyteckiej ekipy archeologicznej od miesięcy prowadziła wykopaliska w obrębie oficjalnego cmentarza. Władze stanowe nie mogły rozporządzać posiadłością, dopóki ludzkie szczątki nie zostaną przeniesione w inne miejsce, studenci zaś musieli zaliczyć zajęcia w terenie. Używając palików i drutu, podzielili teren na sektory. Kopali szuflami i przy użyciu ciężkiego sprzętu. Na tackach, po przesianiu ziemi, zostały kości, klamry od pasków i butelki po wodzie sodowej, wszystko w formie bezładnej ekspozycji.

Oficjalny cmentarz chłopcy z Miedziaka nazywali Boot Hill, tak jak miejsca pochówku typów spod ciemnej gwiazdy – nazwę wzięli z westernów, na które chodzili w soboty, zanim zesłano ich do zakładu poprawczego i pozbawio-

no podobnych rozrywek. Nazwa przyłgnęła, ostała się na pokolenia, także wśród studentów z południowej Florydy, którzy nigdy w życiu nie widzieli westernu. Boot Hill znajdował się na dużym stoku po północnej stronie. Białe krzyże na mogiłach łowiły słońce w pogodne popołudnie. Na dwóch trzecich z nich wryto nazwiska; reszta była nie-
tknięta. Identyfikacja okazała się sprawą trudną, ale rywalizacja między młodymi archeologami gwarantowała stały postęp. Szkolne archiwa, chociaż niekompletne i prowadzone mało starannie, wskazały, kim był „WILLIE 1954”. Spalone szczątki uwidaczniały los tych, którzy zginęli w pożarze internatu w 1921 roku. Przyporządkowanie DNA do żyjących krewnych – do tych, którym studentom udało się odnaleźć – połączyło zmarłych ze światem żywych. Z czterdziestu trzech ciał siedem pozostało anonimowych.

Studenci usypali białe krzyże w stos obok wykopaliska. Gdy nazajutrz rano wrócili do pracy, okazało się, że ktoś roztrzaskał wszystkie w drobny mak.

Boot Hill oddawał chłopców jednego po drugim. Jody poczuła podekscytowanie, gdy obmywając wodą ze szlachu znaleźziska wyjęte z jednego z wykopów, zobaczyła pierwsze szczątki. Profesor Carmine powiedział, że mała kość w jej dłoni należała najprawdopodobniej do szopa pracza albo innego niedużego zwierzęcia. Tymczasem dzięki tajnemu cmentarzysku Jody się zrehabilitowała. Dokonała odkrycia, gdy chodziła dokoła w poszukiwaniu

sieci komórkowej. Profesor poparł jej domysły na podstawie zaobserwowanych nieprawidłowości: te wszystkie pęknięcia i rozłupane czaszki, żebra przeorane śrutem. Jeśli szczątki z oficjalnego cmentarza budziły podejrzenia, to jaki los spotkał tych z nieoznakowanych mogił? Dwa dni później psy tropiące i obrazowanie wielospektralne potwierdziły sprawę. Brak białych krzyży, brak nazwisk. Tylko kości czekające na odkrycie.

– A mówili na to „szkoła” – powiedział profesor Carmine.

Na ponad czterech tysiącach metrów kwadratowych ziemi można sporo ukryć.

Któryś z dawnych wychowanków lub ich krewnych dał cynk mediom.

Na tamtym etapie studenci nawiązali już relacje z byłymi podopiecznymi zakładu poprawczego, przeprowadzili z nimi wywiady. Ludzie ci przypominali zręczliwych wujów i zakapiorów ze starych osiedli, mężczyzn, którzy mogą nieco zmięknąć, gdy się ich lepiej pozna, ale nigdy nie tracą twardego środka. Studenci archeologii powiedzieli im o drugim cmentarzu, powiedzieli członkom rodzin o martwych chłopakach, których wykopali z ziemi, a wtedy miejscowa radiostacja wysłała reportera. Wielu dawnych wychowanków już wcześniej mówiło o tajnych grobach, ale jak zawsze w przypadku Miedziaka, nikt im nie uwierzył. Wszystko zmieniło się dopiero wtedy, gdy to

samo usłyszano z innych ust.

Prasa ogólnokrajowa podchwyciła temat i wówczas ludzie po raz pierwszy przyjrzeni się bliżej szkole w zakładzie poprawczym. Miedziak był zamknięty od trzech lat, co tłumaczyło dzikość terenu i typowy nastoletni wandalizm. Nawet najniewinniejszy zakątek – stołówka czy boisko – wyglądał złowrogo, więc nie trzeba było retuszować zdjęć dla efektu. Materiał filmowy robił bardzo niepokojące wrażenie. W kątach drżały i pelzały cienie, a każdy ślad i zaciek wydawał się plamą zakrzepłej krwi. Jakby wszystkie obrazy uwiecznione przez kamerę odsłaniały ponurą tajemnicę – tego Miedziaka, jaki widać od środka i o jakim nie mówi się na zewnątrz.

Jeśli tak sprawa się miała z niewinnymi miejscami, to jak wyglądały te makabryczne?

Chłopcy z poprawczaka byli tańsi niż najtańsze fordan-serki, a dostawało się od nich więcej za swoje pieniądze, przynajmniej tak mawiano. W ostatnich latach niektórzy byli wychowankowie organizowali grupy wsparcia, odnawiali kontakty przez internet albo spotykali się w bistrach i McDonaldzie. Lub przy stole u kogoś w kuchni, po godzinnej podróży. Razem uprawiali własną fantomową archeologię, przekopując się przez dziesięciolecia i odyskując dla ludzkich oczu okruchy tamtych dni. Każdy z własnymi znaleziskami. „Mówił, że później złoży mi wizytę”. „Rozklekotane schody w szkolnej piwnicy”. „Otarte

do krwi stopy w tenisówkach". Składali te kawałki w obraz potwierdzający wspólnie przeżyty mroczny czas. Skoro to prawda w twoim przypadku, to także prawda w przypadku kogoś innego, więc już nie jesteś sam.

Duży John Hardy, emerytowany sprzedawca dywanów z Omaha, prowadził stronę internetową miedziaków, zamieszczając na niej najnowsze doniesienia. Informował pozostałych o petycji na rzecz wszczęcia kolejnego śledztwa i o przygotowywaniu oficjalnych przeprosin przez władze. Mrugający widżet cyfrowy śledził zbiórkę funduszy na budowę planowanego pomnika. Prześlij mailem Dużemu Johnowi swoją historię z Miedziaka, a wrzuci ją do internetu opatrzoną twoim zdjęciem. Udostępnienie linku rodzinie było jak konstatacja: to właśnie tam mnie ulepiono. Wyjaśnienie i zarazem przeprosiny.

Piąty z kolei doroczny zjazd był dziwny, choć konieczny. Chłopcy byli teraz starszymi facetami, mieli żony i eksżony, dzieci, z którymi rozmawiali lub nie rozmawiali, nieufne wnuki, które czasem przywozili, oraz te, których nie wolno im było widywać. Albo sklecili sobie jakieś życie po wyjściu z Miedziaka, albo nigdy nie dopasowali się do normalnych ludzi. Ostatni palacze papierosów nieznanymi już marek, spóźniający się na zajęcia terapeutyczne, zawsze o krok od zniknięcia. Martwi w więzieniu, gnijący w pokojach wynajmowanych na tygodnie, zamarznięci na śmierć w lesie po wypiciu terpentyny. Mężczyźni spoty-

kali się w sali konferencyjnej Eleanor Garden Inn, by nadrobić zaległości, po czym ruszali kawalkadą na uroczysty obchód po Miedziaku. W niektóre lata czułeś się na siłach, żeby zagłębić się w ten betonowy korytarz, chociaż wiadomo było, że prowadzi do złych wspomnień, a w niektóre wręcz przeciwnie. Unikaj widoku tego budynku albo śmiało patrz mu w facjatę, zależnie od swoich zasobów tego ranka. Duży John po każdym zjeździe umieszczał w internecie sprawozdanie z myślą o tych, którzy nie dali rady przyjechać.

W Nowym Jorku mieszkał dawny miedziak Elwood Curtis. Co jakiś czas szukał w sieci informacji o zamkniętym poprawczaku, żeby zobaczyć, czy pojawiło się coś nowego, ale od zjazdów trzymał się z daleka i nie dopisywał się do list, a to z wielu powodów. Jaki w tym sens? Dorosli mężczyźni. Co, podsuwacie sobie nawzajem chusteczki do otarcia łez? Jeden z pozostałych wrzucił do internetu historię o tym, jak pewnego wieczoru zaparkował przed domem Spencera i gapił się przez wiele godzin na sylwetki w oknie, aż w końcu wybił sobie zemstę z głowy. Zrobił nawet replikę skórzanego pasa, którą chciał wypróbować na nadzorczy. Elwood tego nie kumał. Gdyby szli na całego, może by się przyłączył.

Kiedy jednak odkryto tajny cmentarz, zrozumiał, że musi wrócić. Zagajnik cedrów widoczny za ramieniem reportera telewizyjnego przywołał uczucie gorąca na jego

skórze, świst suchych much w uszach. To wcale nie było tak dawno. I nigdy nie będzie.

CZEŚĆ PIERWSZA



Rozdział pierwszy

W Boże Narodzenie 1962 roku Elwood dostał najlepszy prezent w swoim życiu, choć przecież podarek ten zrodził w nim myśli, które doprowadziły go do zguby. Płyta *Martin Luther King at Zion Hill* była jego jedyną i prawie nigdy nie schodziła z gramofonu. Babcia Harriet miała kilka krążków z gospel, które puszczała wtedy, gdy świat znowu wrednie ją potraktował. Elwoodowi nie wolno było słuchać zespołów wytwórni Motown ani popularnych piosenek z powodu ich wulgarnego charakteru. Pozostałymi prezentami okazały się części garderoby – nowy czerwony sweter i skarpetki. Z całą pewnością zniszczyły się w noszeniu, ale nic tak dobrze nie wytrzymało ciągłego użytku jak płyta gramofonowa. Każda rysa i trzask, których przybywało z upływem miesięcy, były świadectwem oświecenia Elwooda. Ilekroć słuchał, osiągał coraz głębsze rozumienie słów wielebnego. Chrząst prawdy.

Nie mieli telewizora, jednak przemówienia doktora Kinga stanowiły tak wymowną kronikę zdarzeń – zawierającą wszystko, czym Murzyn był i czym miał być – że płyta okazała się równie dobra jak telewizja. Może nawet lepsza, szlachetniejsza, jak ten górujący nad okolicą ekran w Davis Drive-In, gdzie Elwood zajął dwa razy. Widział to wszystko: Afrykanie gnębieni przez białe grzech niewolnictwa. Murzyni poniżani i ciemnieni przez segregację, no i ten świetlany obraz, gdy nagle otworzyły się wszystkie miejsca, dotąd zamknięte dla jego rasy.

Przemówienia zostały nagrane wszędzie, w Detroit, Charlotte i Montgomery, i łączyły Elwooda z walką o prawa czarnych w całym kraju. Jedno z nich sprawiło nawet, że poczuł się jak członek rodziny Kinga. Każdy dzieciak słyszał o wesołym miasteczku, był w nim albo zazdrościł komuś, kto był. W trzecim wejściu na stronie A doktor King mówił o swojej córce marzącej o wizycie w lunaparaku przy Stewart Avenue w Atlancie. Yolanda błagała o to rodziców za każdym razem, gdy widziała z szosy wielki szyld albo gdy w telewizji wyświetlano reklamy. Swoim smutnym gardłowym głosem doktor King musiał jej wytłumaczyć, że obowiązuje system segregacji rasowej, który zatrzymuje kolorowe dziewczynki i chłopców po drugiej stronie płotu. Musiał wyjaśnić błędne rozumowanie białych – nie wszystkich, ale dostatecznie wielu – które nadało temu systemowi moc i sens. Radził córce, aby oparła

się złudnemu powabowi nienawiści i goryczy, zapewnił ją, że „choć nie możesz pójść do wesołego miasteczka, wcale nie jesteś gorsza niż ci, którzy tam chodzą”.

Taki właśnie był Elwood – nie gorszy od reszty. Trzysta siedemdziesiąt kilometrów na południe od Atlanty, w Tallahassee. Czasem widział reklamy wesołych miasteczek, gdy odwiedzał krewnych w Georgii. Przejazdźki gondolami i wesoła muzyka, rozradowane białe dzieciaki stojące w ogonku do kolejki górskiej i minigolfa. Zapinające pasy w rakiecie atomowej lecącej na Księżyc. Wzorowe świadectwo szkolne gwarantuje darmowy wstęp, głosiła reklama – pod warunkiem, że nauczyciel przybił czerwoną pieczętkę. Elwood miał najlepsze stopnie i trzymał plik świadectw w oczekiwaniu na dzień, kiedy do wesołego miasteczka uzyskają wstęp wszystkie dzieci Boże, jak to obiecał doktor King.

– Będę wchodził za darmo przez cały tydzień, bez problemu – powiedział do babci, leżąc w dużym pokoju i szorując kciukiem po wytartym dywanie.

Babcia Harriet odratowała ten dywan z tylnego zaułka po ostatnim remoncie hotelu Richmond. Biurko w jej pokoju, mały stolik obok łóżka Elwooda oraz trzy lampy też były sprzętami wyrzuconymi z Richmond. Harriet pracowała w tym hotelu od czternastego roku życia, kiedy to dołączyła do swojej matki w ekipie sprzątaczek. Gdy Elwood poszedł do szkoły średniej, dyrektor hotelu, pan

Parker, dał jasno do zrozumienia, że przyjmie go jako boya, bo potrzebuje takiego łebskiego smarkacza. Ten biały mężczyzna był więc rozczarowany, kiedy chłopak zatrudnił się w trafice Marconiego. Pan Parker zawsze okazywał życzliwość rodzinie Elwooda, nawet po tym, jak wylał jego matkę za kradzież.

Chłopak lubił Richmond, lubił też pana Parkera, ale myśl o związaniu czwartego pokolenia rodziny z dziejami hotelu sprawiała, że czuł się nieswojo w sposób, którego nie potrafił opisać. I to nawet przed tą historią z encyklopediami. Gdy był młodszy, po szkole siadywał na skrzynce w hotelowej kuchni i czytał komiksy i cykl *Hardy Boys*, a babcia sprzątała i szorowała na górze. Jego rodzice wybyli w świat, wołała więc trzymać dziewięcioletniego wnuka przy sobie, zamiast pozwolić mu obijać się samemu po domu. Widząc Elwooda w towarzystwie innych, uznawała te popołudnia za drugą szkołę, cieszyła się, że wnuk obraca się wśród ludzi. Kucharze i kelnerzy traktowali chłopca jak maskotkę, bawili się z nim w chowanego i serwowali wyświechtane mądrości na różne tematy: obyczaje białych, odpowiednie traktowanie panny, strategie chowania pieniędzy po domu. Najczęściej Elwood nie rozumiał, o czym mówią ci mężczyźni, jednak dzielnie kiwał głową, po czym wracał do czytania książek przygodowych.

Podczas przestojów w pracy rzucał czasem wyzwanie zmywaczom w konkurencji wycierania talerzy na czas,

a oni dobrodusznie okazywali zaskoczenie z powodu jego wyższości w tej dyscyplinie. Lubili widzieć uśmiech na jego twarzy i osobliwy zachwyty po każdym odniesionym zwycięstwie. Ale potem nastąpiła rotacja personelu. Nowe hotele w śródmieściu podkupywały pracowników, kucharze przychodzili i odchodzili, kilku kelnerów nie wróciło, gdy kuchnię ponownie otwarto po podtopieniu fundamentów. W wyniku tej zmiany wyścigi Elwooda z miłej rozrywki przerodziły się w nieprzyjemną krzątanie; nowi zmywacze dostali cynk, że wnuk jednej ze sprząta-czek odwali za ciebie robotę, jeśli mu wmówisz, że to zabawa, miej na to oko. Kim jest ten poważny chłopak, który się tu kręci, gdy reszta z nich zapieprza, poklepywany po głowie przez pana Parkera, jakby był pieskiem, siedzący z nosem w komiksach, jakby miał wszystko gdzieś? Nowy narybek w kuchni chciał przekazać młodemu umysłowi inne lekcje życiowe. To, czego się już dowiedzieli o świecie. Elwood pozostawał nieświadomy, że istota rywalizacji uległa zmianie. Gdy rzucał wyzwania konkurentom, wszyscy w kuchni uśmiechali się półgębkiem.

Miał dwanaście lat, kiedy pojawiły się encyklopedie. Jeden z pomocników wciągnął do kuchni stos kartonów i zwołał naradę. Elwood wcisnął się do kręgu – zawartością pudeł okazał się komplet encyklopedii, który jakiś komiwojażer porzucił w jednym z apartamentów na górze. Krążyły legendy o cennych przedmiotach pozostawia-

nych przez białych klientów w pokojach, rzadko jednak zdarzało się, żeby podobny łup zjechał do ich podziemia. Kucharz Barney otworzył górne pudło i wyjął oprawiony w skórę tom *Fisher's Universal Encyclopedia, A-Be*. Podał go Elwoodowi, który był zaskoczony ciężarem książki, cegłą z kartkami o czerwonych brzegach. Zaczął wertować, mrużąc oczy nad drobnym drukiem – „Archimedes”, „argonauta” – i już wyobraził sobie, że leży na kanapie w domu i przepisuje ulubione słowa. Słowa, które wyglądają interesująco na papierze albo brzmią interesująco w jego wyimaginowanej artykulacji.

Pomocnik Cory zaferował, że odda komuś swoje znalezisko – nie umiał czytać i nie zamierzał się szybko nauczyć. Elwood się zgłosił. Biorąc pod uwagę skład personelu kuchni, było mało prawdopodobne, że znajdzie się inny chętny na encyklopedię. Ale wtedy Pete, jeden z nowych zmywaczy, powiedział, że się z nim ścignie o te książki.

Pete był niezgrabnym Teksaszczykiem, którego przyjęto do hotelu dwa miesiące wcześniej. Zatrudniono go do sprzątanía ze stołów, ale po kilku incydentach przeniesiono do kuchni. Pracując, zerkał przez ramię, jakby się bał, że jest obserwowany, i w ogóle niewiele mówił, jednak z upływem czasu swoim chrapliwym śmiechem ściągnął na siebie kpiny pozostałych. Pete wytarł dłonie o spodnie i powiedział:

– Mamy czas przed kolacją. Jesteś gotowy?

W kuchni urządzono więc porządne zawody. Największe jak dotąd. Skombinowano stoper i wręczono go Lenowi, siwowłosemu kelnerowi, który pracował w hotelu od ponad dwudziestu lat. Swój czarny uniform utrzymywał w nienagannej czystości i twierdził, że jest zawsze najlepiej ubranym człowiekiem w sali jadalnej, co wprawia białych klientów w zażenowanie. Z racji uwagi, jaką poświęcał szczegółom, idealnie nadawał się na rzetelnego arbitra. Ustawiono dwa stosy złożone z pięćdziesięciu dwóch talerzy każdy, namoczonych wcześniej w zlewie pod nadzorem Elwooda i Pete'a. Dwaj pomocnicy wystąpili w roli sekundantów pojedynku, gotowi do podawania kolejnych suchych ścierek w razie potrzeby. W drzwiach kuchni stała czujka, na wypadek gdyby przypałał się kierownik.

Niby nieskłonny do brawury, Elwood miał pewną siebie minę, bo od czterech lat ani razu nie przegrał zawodów w wycieraniu naczyń na czas. Pete tchnął skupieniem. Elwood nie widział w Teksańczyku zagrożenia, bo „przetarł” go we wcześniejszych wyścigach. Słowem Pete był zwykłym nieudacznikiem.

Len policzył od dziesięciu do jednego i zaczęli. Elwood od trzymał się metody, którą udoskonalił z biegiem lat, mechanicznej i delikatnej. Nigdy dotąd nie upuścił ani nie obtłukł mokrego talerza, odstawiając go za szybko na kontuar. Obsługa kuchni skandowała, a Elwood z coraz większym niepokojem patrzył na rosnący stos suchych ta-

lerzy po stronie Pete'a. Teksańczyk uzyskał przewagę, miał jakby dodatkowe zasoby sił. Widzowie wydawali z siebie odgłosy zdziwienia. Elwood się uwijał, goniąc za wizją encyklopedii w swoim domu.

– Koniec! – krzyknął Len.

Elwood wygrał jednym talerzem. Mężczyźni wyli i śmiali się, wymieniając wymowne spojrzenia, których sens zrozumiał dopiero później.

Harold, jeden z pomocników, klepnął go w plecy.

– Urodzony do zmywania naczyń, szpenio normalnie.

W kuchni gruchnął śmiech i Elwood włożył z powrotem *A-Be* do pudła. Co za ekskluzywna nagroda.

– Zasłużyłeś – powiedział Pete. – Mam nadzieję, że zrobisz z tego dobry użytek.

Elwood poprosił kierowniczkę służby sprzątającej, aby powiedziała jego babci, że spotkają się w domu. Nie mógł się doczekać jej miny, gdy zobaczy encyklopedię na półce, elegancką i dostojną. Zgarbiony zataszczył pudła na przystanek autobusowy przy Tennessee. Widzieć go wtedy – poważny chłopak dźwigający brzemię światowej wiedzy – to być świadkiem sceny, którą mógłby narysować Norman Rockwell. Oczywiście gdyby Elwood miał białą skórę.

Po powrocie do domu opróżnił z komiksów zieloną biblioteczkę w dużym pokoju i rozpakował pudła. Zatrzymał się przy *Ga*, ciekaw, jak bystrzaki z wydawnictwa poradziły sobie z „galaktyką”. Strony były puste – ani jednej

zadrukowanej. Wszystkie tomy w pierwszym kartonie okazały się puste, oprócz tego, który Elwood wyjął wcześniej w hotelu. Z wypiekami na twarzy otworzył pozostałe dwa pudła. Nigdzie żadnego tekstu.

Gdy babcia wróciła z hotelu, pokręciła głową i powiedziała, że to może felerne wydanie albo egzemplarze pokazowe, które komiwojażer prezentował potencjalnym klientom jako próbki, żeby widzieli, jak komplet wyglądałby w ich domu. Tej nocy myśli w głowie Elwooda tykały i szumiały jak chronometr. Zaświtało mu, że pomocnik... co tam pomocnik – że wszyscy w kuchni wiedzieli, że tomy są puste. I odegrali przedstawienie.

Mimo to ustawił encyklopedię w biblioteczce. Wyglądała imponująco nawet wtedy, gdy z powodu wilgoci okładki się pofałdowały. Bo skórzana oprawa też była lipna.

Następne popołudnie było jego ostatnim w hotelowej kuchni. Wszyscy zbyt uważnie mu się przyglądali.

– Jak ci się podobają książki? – zakpił Cory i czekał na reakcję.

Stojący przy zlewie Pete miał na twarzy uśmiech jakby wychlastany tępym nożem. Wiedzieli. Babcia zgodziła się, że wnuk jest dostatecznie duży, by zostawać w domu sam. Przez całą szkołę średnią Elwood bił się z myślami, czy zmywacze od początku celowo pozwalali mu wygrywać. Był tak bardzo dumny ze swoich umiejętności, co z tego, że prostych, podstawowych. Do ostatecznych wniosków

doszedł dopiero wtedy, gdy wylądował w Miedziaku, bo tam prawdy o rywalizacji nie dało się uniknąć.